

Bronisław Wildstein

**BUNT
I AFIRMACJA**

Esej o naszych czasach



1

Źle się dzieje w państwie duńskim

Ministerstwo Spraw Zagranicznych Danii domaga się od Komitetu Praw Człowieka Organizacji Narodów Zjednoczonych, aby w dokumentach tej organizacji nie używano określenia „kobieta w ciąży”, gdyż ma ono charakter wykluczający w stosunku do „osób transgenerowych”. Dodatkowo duńskie władze apelują, aby ONZ starała się nie stosować sformułowania „prawo do życia”, ponieważ zdarza się, że jest ono łączone z „łamaniem praw człowieka”.

Władze „demokratycznego” państwa chcą wyeliminować z języka, na razie urzędowego, ale to oczywiste, że to tylko pierwszy krok, określenie podstawowego zjawiska naturalnego, które przetransformowane w ludzką kulturę jest jej fundamentalnym czynnikiem twórczym. Czy jesteśmy w stanie ją sobie wyobrazić bez kultu macierzyństwa? Nie sposób pojąć katolicyzmu, a więc także półtora tysiąca pierwszych lat chrześcijaństwa (prawosławie niewiele się pod tym względem różniło) bez szczególnej roli Matki Boskiej. Kult ten można uznać za komplementarny wobec dominacji męskiej w innych sferach życia. Piszę o naszym kręgu cywilizacyjnym, ale kult macierzyństwa i afirmacja roli matki jest uniwersalnym zjawiskiem w kulturze człowieka. To jeden z dowodów na naturę ludzką, która wprawdzie w nieco inny sposób przejawia się w rozmaitych cywilizacjach, ale wyznacza tożsamość i jednolitość gatunku *homo sapiens*. I wszędzie szczególna rola matki choćby do pewnego stopnia niweluje męską przewagę w innych dziedzinach.

Wydawałoby się, że nie sposób znaleźć bardziej neutralnego wyrażenia niż: „kobieta w ciąży”. Okazuje się jednak, że ma ono

„wykluczać” pewien szczególny, niezwykle rzadki typ człowieka. Cóż jednak znaczy owo wykluczanie? To nazwanie rzeczywistości. To kobiety zachodzą w ciążę; wprawdzie wynalazki technologiczne pewnie umożliwią, jeśli już tego nie zrobiły, mężczyźnie jej donoszenie, ale to całkiem co innego. Do czego zresztą prowadzić mają takie eksperymenty? Cięża i macierzyństwo to elementarna rola i powołanie kobiece.

Obsesja równości traktowanej jako identyczność ma, oprócz sprowadzenia wszystkiego do kwestii dominacji i próby eliminowania jej z ludzkiej rzeczywistości, jeszcze inny, głębszy wymiar. To pragnienie przemodelowania natury, przeciwstawienia się wszelkim stawianym przez nią ograniczeniom, aby w ich miejsce wprowadzić arbitralny porządek ideologicznych wizjonerów. Świat ma być absolutnie powolny ludziom, a oni winni przyjąć rolę demiurgów, tak postawę tę opisała Chantal Delsol.

W wydanej niedawno książce *Nienawiść do świata. Totalitaryzmy i ponowoczesność* formułuje ona opozycję demiurga i ogrodnika, w której skupia się podstawowy konflikt współczesnego świata. Człowiekowi pretendującemu do roli demiurga wydaje się, że jest w stanie samodzielnie, aktem *creatio ex nihilo*, na nowo stworzyć świat. Rzeczywistość, a więc i kultura ludzka z wszystkimi jej napięciami, konfliktami i niedoskonałościami wydaje się mu czymś absolutnie nie do zaakceptowania, stąd jego tytułowa nienawiść do świata i do wszelkich jego naturalnych zjawisk. Przeciwnieństwem demiurga jest ogrodnik, świadomy ograniczoności swoich potencji i osadzenia własnej egzystencji w historycznym ciągu, który wyrasta z naturalnych uwarunkowań i kultury ludzkiej. Jego funkcją jest, na co wskazuje etymologia słowa, kultywowanie ludzkiego, wielopokoleniowego ogrodu. Ta postawa wywołuje wrogość demiurgicznie nastawionego antagonisty, który dąży do kumulacji całości władzy, aby wykreować zupełnie nowy świat, i w ten sposób zmierza w kierunku totalitaryzmu. Konflikt tych nastawień Delsol nazywa „walką między Zakorzeniem a Emancypacją”.

Uderzenie w najbardziej elementarne kategorie ludzkiej natury: płciowość i wynikające z niej odmienne, rodzicielskie role, to próba przetworzenia świata. Wiedziony przez *hybris* człowiek wierzy, że jest w stanie, na nieznanych dotąd zasadach, zbudować nową, wspólną rzeczywistość. Naprawdę jedyne, co zrobić potrafi, to zniszczyć istniejący ład, czego w wieku XX doświadczyliśmy w pełnym wymiarze, a z uwolnionego wtedy koszmaru nie potrafimy się ciągle podnieść.

Wspomniane wystąpienie duńskiego MSZ motywowane jest obroną „osób transgenderowych”. Pewnie istnieje małe odsetek tego typu oboczności. W naturze zawsze pojawiają się odstępstwa od normy, czyli patologie. Ideologiczny projekt, którego odpryskiem jest stanowisko rządu duńskiego, ma prowadzić do wyeliminowania wszelkich odstępstw. O ile wcześniej robiono to, represjonując je, o tyle nowa doktryna kwestionuje normę. Przekreślona ma zostać całość ludzkiego doświadczenia, cała istniejąca kultura. W imię utopii zniszczone mają zostać wszelkie rozwiązania, które skazane są niedoskonałością, a więc po prostu wszelkie ludzkie porządki.

Tomasz More, który pierwszy wymyślił i użył jako tytułu swojego dzieła określenie *Utopia*, dał imię tęsknocie człowieka za rzeczywistością doskonałą, świadomie sprzęgając w nim dwa znaczenia. Utopia to zarówno miejsce dobre, jak i takie, które nie istnieje. Nowoczesność to podążanie za tym fantazmatem. Katastrofalne tego konsekwencje niczego nie uczą poszukiwaczy ziemskich rajów.

Świat idealny nie jest człowiekowi w jego ziemskim bytowaniu dostępny. Próbując go stworzyć, przekracza on swoje miary i pretenduje do boskiego statusu. Nie jest to możliwe, a chcąc wykorzenić wszelkie zło, potrafimy jedynie zniszczyć to, co w historii udało się nam zbudować, czyli swoją, niedoskonałą przecież, kulturę. Tęsknota za utopią powoduje, że powstajemy przeciw temu, co w najgłębszym sensie tego słowa jest, buntujemy się przeciw zasadzie ludzkiej egzystencji, a więc wybieramy nieistnienie. Należy pamiętać, że

utopia to nie próba naprawy ludzkiej realności, jej reforma – to wezwanie do powołania alternatywnego, nieznanego nam świata, bo takim jest porządek doskonały, z którego ostatecznie ma zostać wyrugowane zło czy ułomność. Po to, aby wykreować ten obcy nam stan rzeczy, jego konstruktorzy muszą zbudować od nowa ludzki projekt, a w tym celu potrzebują pełni władzy. Totalitaryzm wpisany jest w utopię.

Żyjemy w rzeczywistości, w której te proste i oczywiste intuicje uległy zakwestionowaniu. Dotyczy to myślenia utopijnego, które zostało nobilitowane i stało się dominującym nurtem naszego świata. Przekłada się to również na podejście do problemu marginesu. Już od jakiegoś czasu w kulturze zachodniej sprawy graniczne są szczególnie eksponowane, a głównym obiektem zainteresowania stają się zjawiska dziwne i wyjątkowe. Początkowo dotyczyło to literatury i sztuki, z czasem podejście to zaczęło się rozszerzać na całość kwestii społecznych. Odrzucona została stara amerykańska maksyma, która mówi, że trudne sprawy tworzą złe prawo. Dominująca dziś ideologia i generalnie światopogląd, który stanowi jej pożywkę, lubi koncentrować się na zjawiskach ekstremalnych. Jedną z przyczyn jest utopijne wyobrażenie, że jesteśmy w stanie wyeliminować wszystkie niesprawiedliwości, zniwelować wszelkie ułomności, czyli zlikwidować nieszczęście i krzywdę w świecie ludzkim. Ten etyczny maksymalizm, na pierwszy rzut oka tak sympatyczny dla rozumu współczesnego, musi prowadzić do zakwestionowania istniejącego świata. Przecież wskazanie jakiegokolwiek nieprawości odbierać ma, zgodnie z tym myśleniem, prawomocność całości porządku, w jakim do niej dochodzi.

Postawę taką zanalizował, w charakterystyczny dla siebie przenikliwy sposób, Fiodor Dostojewski w postaci Iwana Karamazowa. Młody etyczny maksymalista odmawia światu prawa do istnienia za cenę cierpienia jednego dziecka. „Zwraca Bogu bilet”. Wbrew pozorom nie jest to problem błaho traktowany przez autora *Braci*

Karamazow. Wiąże się z pytaniem o teodycęę, usprawiedliwienie zła świata. I u Dostojewskiego nie ma w tej mierze łatwych odpowiedzi, a nieszczęście dziecka, istoty zupełnie na nie niezasługującej, którego cierpienie potęguje dziecinne niezrozumienie krzywdy, jakiej doznaje, jest autentycznie wstrząsające. Tyle że doświadczenie XX wieku, które pokazało nam, jak utopiści w imię wyrugowania zła multiplikują je do niewyobrażalnych rozmiarów, powinno nas immunizować na tego typu podejście. Nic podobnego jednak się nie stało. Próba dyskredytacji instytucji poprzez pokazanie jej marginalnych patologii w świecie zachodnim jest dziś normą. Tak dzieje się również z najważniejszą z nich, czyli rodziną. Walka z tradycyjną, a więc jedyną znaną nam jej formą jest jednym z motorów współczesnej ideologii. Wystąpienie rządu duńskiego jest jednym z jej przejawów. To walka z kulturą, która wyrasta z natury. Dominująca dziś ideologia emancypacji chce budować kulturę przeciw naturze, gdyż uznaje, że Bogu podobny człowiek jest w stanie wykreować ją na nowo. Wszystkie naturalne formy bytowania człowieka mają być mu wrogię, zarażone są przecież nierównością i przemocą. Trzeba je wyeliminować, aby powołać do życia nowy, wspaniały świat.

*

Obsesją nowoczesnej ideologii, która dominuje dziś w świecie zachodnim, jest walka z „wykluczeniem”. Do tego odwołuje się cytowane powyżej memorandum duńskiego rządu. Tropienie wszelkich możliwych i niemożliwych wykluczeń to główne zajęcie naszych ośrodków opiniotwórczych, a konsekwencją tego ma być prawo eliminujące owo zło ze społecznej rzeczywistości, najpierw poprzez eliminację go z mowy – zabieg taki postuluje duńskie MSZ. To stara jak ludzkość metoda tabuizowania. Rzeczy groźne eliminowane są z języka i zastępowane omówieniami. Naiwna, wydawałoby się, wiara, że nienazwane obiekty przestaną istnieć, ma jednak zakorzenienie w ludzkiej praktyce. Wprawdzie poprzez przemilczenie nie

potrafimy doprowadzić do anihilacji zjawiska, jednak, w każdym razie na czas jakiś, potrafimy je wypchnąć z naszej świadomości. Prowadzi to do rozmaitych negatywnych kompleksów i być może byłaby to jedna z niewielu sfer, w której pewien rodzaj psychoanalizy miałby jakiś sens. Odnosiłaby się w tym wypadku do domeny społecznej i musiałaby być rozumiana w zupełnie inny sposób niż pojmowali ją jej twórcy.

Opisywana inżynieria w domenie języka ma być egzekwowana przez prawo. Gdyż to prawo, zgodnie z nową ideologią, ma stać się instrumentem kreowania nowej rzeczywistości.

Przyjąć można, że walka z wykluczeniem rozumianym jako dyskryminacja określonych grup społecznych czy jednostek jest czymś ze wszech miar pozytywnym. Kiedy jednak zaczynamy rozszerzać ową kampanię, dążąc do zrównania wszelkich praw i jakości, popadamy w absurd. Czy można wyobrazić sobie ludzkość bez podziałów, z których najbardziej elementarnym jest zróżnicowanie płciowe? Odmienności owe mogą wyrastać z biologii, ale są i takie, które stanowią czysto kulturowe, acz wypracowane przez długie trwanie, formy.

Zacząć można od ludzkiego myślenia, które bez abstrahowania, czyli wyłączenia określonych zjawisk i jakości ze strumienia doznań, byłoby niemożliwe. Wydobywamy pewne rzeczy spośród nieskończoności innych, a więc wykluczamy je. Z tego elementarnego zabiegu, który umożliwia nam nazywanie i rozumienie, wyrasta także sposób porządkowania ludzkiego życia.

Arystoteles wypowiedział to, co jest oczywiste dla każdego, kto podejmuje elementarną refleksję antropologiczną: samotny może być bóg albo zwierzę. Stajemy się ludźmi dzięki kulturze i językowi, który jest jej fundamentem, dzięki wychowaniu w zbiorowości, dzięki cywilizacyjnym odruchom, które zastępują nam instynkty. Od urodzenia absorbujemy zachowania, które pozwalają nam adekwatnie reagować na sytuacje społeczne, w jakich się znajdujemy. A tradycje zawsze mają charakter partykularny. Egzystencja poza

jakąkolwiek wspólnotą, wyłącznie w anonimowej zbiorowości określonej przez naszą gatunkową przynależność, skazywałyby nas na samotność i realnie nie byłaby możliwa. Należy zgodzić się co do istnienia natury ludzkiej, a nawet do tego, że jest na tyle mocna, iż pozwala przekraczać nam nasze czasowo-przestrzenne uwarunkowania, a więc umożliwia, przy włożeniu w to odpowiedniego wysiłku, zrozumienie ludzi odmiennych kultur w ich różnych stadiach trwania. Niemniej dzieje ludzkości rozpadają się na odmienne cywilizacje (trzymając się polskiej tradycji, pojęcia kultury i cywilizacji traktuję synonimicznie), a ludzie muszą żyć we wspólnotach, od rodziny począwszy, na narodzie skończywszy. Nie funkcjonują w takich samych relacjach ze wszystkimi i nie są w stanie obdarzać ich tak samo intensywnymi uczuciami. Z bliższymi związani są bardziej, z dalszymi mniej. Najszersza obecnie wspólnota, z jaką człowiek potrafi się identyfikować, to naród. Nie znaczy to, że ma być obojętny wobec innych. A jednak naród jako wspólnota losu jest dla niego czymś wyjątkowym i więź z nim musi być szczególna. Rozumiemy, a nawet czujemy, że nasza egzystencja uzależniona jest od stanu narodowej wspólnoty, a więc i jej historii.

Wszystkie owe wspólnoty muszą być budowane na wykluczeniu. Określona grupa istnieć może tylko wtedy, gdy przeciwstawiona jest tym, którzy do niej nie należą. Modelowo obserwujemy to w logice, w teorii zbiorów. W świecie ludzkim dotyczy to każdej wspólnoty, od rodziny po naród. Jak zawsze w rzeczywistości człowieka sprawy komplikują się w wypadkach skrajnych i w odniesieniu do granic, które wielokrotnie mogą być trudne do nakreślenia. Te nieuniknione dylematy nie powinny uniemożliwiać postrzegania różnicowania i podziałów, a tak byłoby, gdybyśmy koncentrowali się wyłącznie na trudności ich wytyczenia. Nie byłibyśmy w stanie wówczas wyznaczyć jakiegokolwiek tożsamości.

Nowoczesna ideologia emancypacji ufundowana jest na fetyszu równości traktowanej jako jednakowość i redukuje istnienie ludzkie do jednoznacznie rozumianych kwestii władzy. Odrzuca tradycyjne podejście, które sprawy te niuansuje, różnicuje i wskazuje, że relacje międzyludzkie nie sprowadzają się do miejsca w prostej i sformalizowanej drabinie podporządkowania. Dla współczesnych feministek rola matki to tylko jedna z wielu, właściwie darzona niechęcią, gdyż ogranicza możliwości zawodowej pracy kobiety i jej rywalizacji z mężczyzną. Macierzyństwo ma być wedle tej doktryny uprzedmiotowieniem, zamknięciem drugiej płci w domu i uzależnieniem jej od mężczyzn. Większość feministek wypowiada się o kobietach realizujących się w ten sposób z pogardą. Należy uznać to za rodzaj resentymentu, nienawiści do własnej płci. Kobiety, które nie są w stanie sprostać swojej kondycji, negują ją i tworzą opozycyjny dla niej projekt „samorealizacji”. A ponieważ transcendentalnym warunkiem naszego pojmowania jest układ binarny, którego jednym z przejawów jest opozycja męski–żeński, kobiety te wybierają męski model funkcjonowania. Feministki przyjmują go jako jedyny dopuszczalny i na tym polu usiłują konkurować z mężczyznami. Nie mieści się im w głowie, że można szukać innych sposobów egzystencji niż prosta rywalizacja społeczna. Porządek ludzki zbudowany jest według nich na jednoznacznej hierarchii, a punkty przyznawane są za osiągnięcie wyższego w niej szczebla. W ten sposób feministki negują cały wspaśniały fenomen kobiecości i znaczącą część doświadczeń rodzaju ludzkiego. Owszem, jak wszystko co wartościowe, żeńska rola musi być związana z wyrzeczeniem; prowadzi do stawienia czoła fundamentalnym zagrożeniom i podjęcia zasadniczego, egzystencjalnego ryzyka, które wbrew dwudziestowiecznym rojeniom nie polega na wybieraniu w całości swojego przeznaczenia, gdyż podejście takie nie jest możliwe dla człowieka nawet w wyobraźni – wszelkie tego typu fantazje rażą płytkością – ale próbie sprostania swojemu losowi, który w elementarnym kształcie jest nam narzucony. Rodzimy się

w określonym miejscu oraz czasie i nie stanowi to absurdu, ale zasadniczy wyznacznik ludzkiego istnienia, tak jak i płeć, która w dużej mierze nadaje kształt naszej egzystencji, jest składową przeznaczenia, bardziej niż historyczne i kulturowe środowisko określającą warunki naszego bytu. Możemy próbować przed tym uciekać, ale nie zyskujemy skutkiem tego wolności, a jedynie status uchodźcy, większe uzależnienie w pozbawionym formy istnieniu, na które skazaliśmy się w ten sposób. Kwestionując znany sobie porządek, pograżamy się w żywiole chaosu, którego przejawem jest rola banity. Dużo bardziej zdaje ona nas na presję otoczenia niż ta, przed którą usiłujemy ująć. Świat, w którym jesteśmy zadomowieni, otwiera przed nami możliwość uczestnictwa i współtworzenia, domena, w którą chronimy się jako uciekinierzy, rządzi się swoimi prawami, a nasza możliwość partycypacji w niej jest radykalnie ograniczona.

*

Współczesność dąży do uproszczenia. To konsekwencja jednoznacznie rozumianego, zmatematyzowanego racjonalizmu, który miał w całości nie tylko wyjaśnić wszystko, ale umożliwić człowiekowi bezproblemowe posługiwanie się światem. Otaczająca nas rzeczywistość ma zostać nam podporządkowana i zarządzana jak przedsiębiorstwo, w którym funkcjonuje jedyna, zorientowana na produktywność logika organizacyjna, a pozycja człowieka określona jest przez stanowisko zajmowane w wynikającym z niej systemie podległości. Coraz trudniej pojąć nam realność, w której istniało równocześnie kilka porządków, a duchowy nie był tożsamy z politycznym. Taki złożony układ prowokował, naturalnie, napięcia i konflikty, ale system jednolitego podporządkowania tylko je skrywa i staje się nieznośnym ograniczeniem naszej wolności i kreatywności. Współcześnie zresztą występuje również wiele struktur dominacji, ale odebrano im metafizyczne uzasadnienie, a więc do pewnego stopnia zostały one przesłonięte i pozbawione legitymacji.

Czy tradycyjnie rozumiane macierzyństwo podporządkowuje kobiety mężczyznom? W pewien sposób tak, gdyż los samotnej matki jest nie do pozazdroszczenia, a wychowanie dziecka czy dzieci (to jeszcze większy problem) bez męskiej pomocy stwarza ogromne trudności. Rozwój dziecka w rodzinie pozbawionej ojca lub matki natrafia na tak liczne przeszkody, że zastanawiać się można, na ile jest on w pełni możliwy. Niezamierzony społeczny eksperyment, jakim w Stanach Zjednoczonych okazała się duża grupa murzyńskich matek wychowujących swoje dzieci tylko przy pomocy żeńskich krewnych, potwierdził jedynie to, co powinniśmy rozumieć w oparciu o prostą obserwację, podstawowe przeżycia oraz elementarną intuicję. Dzieciom pozbawionym rodziców dużo trudniej odnaleźć społeczne miejsce, a więc i tożsamość. Przypominam o tym również dlatego, że wystąpienie duńskiego MSZ ma charakter ideologicznego ataku na rodzinę i jest kolejnym etapem osłabienia małżeństwa. Ofiarą jego rozpadu padają dzieci, ale wbrew całej wolnościowej retoryce odciska ono negatywne piętno także na rozwiedzionych dorosłych, zwłaszcza kobietach.

Niezbędność rodziny oznacza jej dwuaspektową, męsko-żeńską pełnię. Dziewczynki potrzebują wzorców, których uczą się od matki, a chłopcy – tych, których dostarcza im ojciec. Wspomniany amerykański przykład pokazywał, jak bardzo młodemu mężczyźnie potrzebny jest kontakt z ojcem i uczenie się jego roli. Chłopcy wychowywani przez kobiety rozpaczliwie poszukiwali innych osób, które mogłyby stanowić dla nich obiekt naśladowania. Substytut tego odnajdywali w gangach, w których autorytet budowany był przez nagą siłę i przemoc. Potrzeba budowania męskiego modelu dla chłopców pojawiła się w amerykańskiej obywatelskiej inicjatywie „Big brother”. Sięga ona początków XX wieku, a więc nie zaczerpnęła nazwy z późniejszej o pół wieku antyutopii Orwella. Nie wiem, na ile żywa jest dziś, ale kiedy obserwowałem ją pod sam koniec ubiegłego stulecia w Stanach Zjednoczonych, stanowiła prężne przedsięwzięcie.

Tworzyli ją ochotnicy, którzy kontaktowali się z samotnymi matkami, aby regularnie spotykać się z ich synami i jako „starsi bracia” prezentować im męski sposób bycia.

Wyznawcy dominującej dziś ideologii obruszą się na reprodukcję tego konserwatywnego modelu. Chcą przecież wyemancypować z niego człowieka. Tyle że ludzie, których znamy, uwolnieni od niego przeżywają udręki, co wskazuje, jak bardzo jest on ich elementarną potrzebą, a praktyka rzeczników nowej ideologii przypomina ich poprzedników, którzy przemocą budowali „bezklasowe” społeczeństwo, nie tyle nawet nie dbając o realnych ludzi, co wręcz nimi gardząc. Mieli być oni przecież wyalienowanymi i zdeformowanymi przez „odczłowieczone warunki produkcji” ułomnymi bytami, które zastąpi „nowy człowiek” realizujący swoją „gatunkową istotę”. Stary, a więc istniejący człowiek miał mu ustąpić, a pomoc w procesie jego eliminacji była godnym pochwały przedsięwzięciem, które z lubością brali na swoje barki rewolucjoniści. Uważali, podobnie jak dziś rzecznicy ideologii emancypacji, że oni swoje ograniczenia potrafili już przezwyciężyć. Dawni i obecni rewolucjoniści stanowią we własnym mniemaniu awangardę predystynowaną do przewodnictwa zbiorowości i przetwarzania jej zgodnie ze swoimi, wywiedzionymi z jedynej słusznej ideologii, zasadami. Cierpienia, które towarzyszą kreacji nowego człowieka, przypominają bóle porodowe, są więc przyjmowane przez elitę z akceptacją, zwłaszcza że to nie ona będzie je odczuwała. W totalitarnych systemach podejście to rzucało się w oczy. Dziś, w świecie dominacji ideologii emancypacyjnej, jest ono ukryte, ale nie mniej oczywiste. Przejawia się głównie w stosunku do rodziny.

*

W rodzinie dziecko powinno odkrywać odmienne role, jakie przysługują kobietom i mężczyznom. To zróżnicowanie, które z natury rzeczy niekiedy przybierać musi także konfrontacyjny charakter,